

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

luty 2007 r.

Nr 2 (47)



## 1. Z KART PRZESZŁOŚCI

– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej

## 2. ZE WSPOMNIENI

– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień

## 3. Z DZIEJÓW KONINA

– artykuły o treściach historycznych, archiwalia

## 4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA

– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta

## 5. NASZYM ZDANIEM

– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta

## 6. INSPIRACJE KULTURALNE

– poezja, proza, rysunek konińskich twórców

## 7. Z ŻYCIA TPK

– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań

## 8. BARWY CODZIENNOŚCI

– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście

## 9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



## Witam Drogich Czytelników letnio (?) – zimowo (?)

Właściwie, te moje powitania związane z aurą, są zawsze nieco ryzykowne. Dynamizm pogody jest ostatnio taki, że nawet gubią się w prognozach satelity meteorologiczne. No cóż, chyba naprawdę jesteśmy świadkami ocieplania się klimatu, a co jeszcze przed nami – dobrze, że nie wiemy. Wiemy natomiast co, oraz kto czeka na nas w dzisiejszym wydaniu „Koninianów”.

Już na początku pragniemy uspokoić zatroskanych czytelników, że barierka na tarasie widokowym byłego Domu Górnik, została poddana tylko renowacji, a nie likwidacji, czego czujni koninianie bardzo się obawiali. W nagrodę artykuł Włodka Kowalczykiewicza (młodszego) z jego pierwszego, niegdysiejszego tam pobytu, uzupełniony pięknym rysunkiem Józefa Szyka.

Włódkowi sekundują Mirka Dymitrow i Marysia Cieślak, one również bardzo lubią swoje miasto.

W poprzednim wydaniu pisaliśmy o konińskich ulicach noszących nazwy kamieni szlacheckich, natomiast dzisiaj Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) raczy nas barwami i zapachami kwiatów, którymi nazwano niektóre ulice.

Danusia Olezak, swoją opowieść o sercu dedykuje „walentynkiewiczom”, aby ostrożnie szafowali tym organem i przypomina, że przede wszystkim „mieszka w nim miłość”. Natomiast wierszyk opatrzone tajemniczą literką „J” chcemy poświęcić nieco starszym zakochanym, którzy potrafią już bardziej „smakować” te uczucia. Zaś kwiaty namalowane przez nieodżałowanej pamięci artystę, pana Włodzimierza Sznajdra – wspomina o nim syn – ofiarowujemy po prostu wszystkim naszym uroczym Czytelnikom.

Ja przedstawiam kawalera Medalu Gloria Medicinæ – to prawdziwy jeden z dziesięciu – zachęcam do lektury o doktorze Jarosławie Lubiatowskim.

Nieźródłany Piotr Rybczyński wynalazł tym razem arcyciekawy

temat „o welocypedzie i drewnianym samochodzie”, a wszystko to działo się onegdaj w naszym znanym grodzie. Radzę zacząć od tego tekstu, mimo że jest na ostatniej stronie gazety. Tamże znajdzie Czytelnik ciekawy list z dalekiej Kalifornii od rzuconego tam różnymi zawirowaniami losu, rodaka z Konina.

Stronę kończymy rysunkiem pięknego kościółka w Starym Mieście, gościnnie występującej w „Koninianach” pani Jolanty Młodeckiej z Włocławka, autorki ciekawego albumu „Pałace i dwory”. Opis rysunku, piękną poetycką prozą, jest autorstwa pani Jadwigi Naskręckiej (witamy na łamach).

Również dla zainteresowanych apel konińskiego Muzeum oraz list otwarty do inż. Stanisława Pijanowskiego, kustosa Muzeum w Głuchej Puszczy.

PS Dziękujemy za napływające ankiety, prosimy nie

przesyłać ich pocztą, wystarczy zostawić wypełnione druki w bibliotece miejskiej lub jej filiacjach. Czytelnicy zbierający egzemplarze „Koninianów” mogą swoje dane wypełniać na karteczkach (najlepiej) formatu strony zeszytowej. Serdeczne dzięki za podpowiedź w sprawie ankiet – okazała się bardzo trafna. Natomiast na pytanie „co mamy robić” po zapisaniu się do TPK – odpowiadamy, na początek brać udział we wszystkich kulturalnych poczynaniach w naszym mieście. Spotkamy się w maju z okazji wydania 50 numeru „Koninianów” w Bibliotece Miejskiej przy ulicy Dworcowej, wtedy porozmawiamy o „naszych” sprawach. Szczegóły w numerze kwietniowym.

Serdecznie pozdrawiam  
Stanisław Sroczyński

...będę Cię kochała

choćbyś zbrzydł zestarzał się

choćbyś miał tysiąc lat

tylko czasem obejmij mnie

otul ciepłem swoich ramion

na minutę, na sekundę na mgnienie oka

a będę Cię kochała...

J.

## Nowy (?) Konin



Konin..., to już nie jest taki nowy. Słowa translokowały mnie w skórę chłopca, z czupryną wystającą niewiele ponad politurowany blat stołu. Stałem przy nim, otoczony opowiadaniem, że w nieznanym wówczas dla mnie Czarkowie górniczy w 1956 roku wybudowali dom z dachem przypominającym taras widokowy. Minął jakiś czas, a ja pokrępiiony lemoniadą z baru-knajpy (?) zwanej „Czarną Mańką”, „drałowałem” pod wzniesienie drogi prowadzącej do Niesłusza. Na szczycie jeszcze nie opadło wrażenie pokonania stromizny, a już upajałem się widokami z dachu otoczonego betonową kolumnadą „Domu górnik”. Opodał wlotu ulicy Dworcowej, zauważyłem mały budynek służący za strażacką remizę. Jednakże nawet z tak „olbrzymiej” wysokości nie przewidziałem, że po remoncie z 1960

roku zamieni się w kino „Energetyk”. Nie przypuszczałem również, że w 1962 roku będę maszerował tamtędy na dworzec kolejowy świętować oddanie zelektryfikowanej trasy kolejowej pomiędzy Kutnem a Koninem. Żałuję, że falujące łany zboża, ciągnące się ku Cierpiszowi i Chorzniewi nie wywołały u mnie fatamorgany, bowiem na długo przed, zobaczyłbym uroczystość oddania w 1963 roku pierwszego „bloku” na trzecim osiedlu. Na głos taty: Spójrz tam – odwróciłem głowę. Strofowany: Nie tam..., tam, to dymiący komin brykietowni, a jeszcze dalej widać zarysy budującej się elektrowni „Konin”. Skieruj głowę bardziej w prawo... Widzisz wieżę kościoła? To w Morzysławiu! Mój dziecięcy umysł nie uległ oniryzmowi i zapewne, dlatego nie przewidział kompleksu zabudowań, jakie powstaną na skarpie zawieszonyj nad wsią Kurowo. Do nich w 1965 roku z Marantowa przeniesie się Szkoła Górnicza. Współbrzmiać z datą inauguracji szkoły, „bloki” piątego osiedla, rozleją się aż po wieże morzysławskiego kościoła. Wpatrzony w aleję jabłoniową biegnącą ku Glince myślałem o mamie, ale nie spodziewałem się, że przela-

nie swój konserwatyzm starokoninianki i kiedyś powie: Nic na ciebie w Koninie nie mogę kupić, musi-

lat później zacnie kołatać gwałtowniej, lecz nie wśród domów starego Konina, ale przy ulicy Górniczej



my jechać na osiedle do „Nastolatki”. Nim zedrę zakupione ubrania, uprzedzenia rodziców do „bloków”, złamię „ekonomia” i przyjadą sprzedawać warzywa na plac targowy przy zbiegu ulic Energetyka i Kolejowej. Wówczas mój dziecięcy umysł nie obejmował ogromu nadchodzących przemian oblicza miasta. Czy przeczuwało to serce? Tego nie wiem! Jednakże, w kilkanaście

znajdzie swoją drugą połowę. Wówczas stojąc na dachu ubrany w krótkie spodenki odnosiłem wrażenie obcości. Dziś już w nieco dłuższych spodniach, spaceruję obok zmieniającego „oblicze” dawnego „Domu górnik” po swoim rodzinnym Koninie. Ma pan rację Panie Janie, ten Nowy Konin, podobnie jak i ja, nie jest już taki nowy...

Włodzimierz Kowalczykiewicz



# Kwiaty Włodzimierza Sznajdra

W środę, ostatniego stycznia, nietypowa w tym roku zima przywitała nas szarym, deszczowym dniem. Pod wieczór rozpadało się na dobre. Jakby na przekór nieprzychylniej aurze w Muzeum Okręgowym w Gosławicach zakwitły kwiaty. „Kwiaty” – tak właśnie została zatytułowa-

na wystawa malarstwa Włodzimierza Sznajdra. Na płótnach można było zobaczyć, mieniące się kolorami, bukiety najprzeróżniejszych kwiatów. Taki zimowy prezent, który nieżyjący artysta ofiarował mieszkańcom swego miasta.

Mój Ojciec, Włodzimierz Sznajder, z wielkim upodobaniem malował kwiaty. Kwiaty, jak kwiaty, same w sobie są wystarczająco urokliwe,

a przeniesione na płaszczyznę płótna mogą zachwycić samym tematem. Memu Ojcu nie wystarczyło kopiowanie kwiatów. Ustawiał je w określonej przestrzeni, wybierał właściwe oświetlenie, segregował kolory. Jednym słowem, tworzył obraz, w którym sam temat stawał się pretekstem do malarskiej zabawy w układankę barw. W ten sposób powstawały kolejne obrazy kwiatów,

których zaledwie niewielką część eksponuje Muzeum.

Innym tematem fascynującym Ojca była architektura. Rysował i malował uliczki starego Konina. Wędrował ze szpicownikiem po zaułkach miasta. Plonem tych peregrynacji stał się wydany drukiem w 1993 roku album, zatytułowany „Włodzimierz Sznajder – Mój Konin”.

O osiągnięciach, nagrodach i odznaczeniach dużo by pisać. Zmarł w wieku 92 lat. W ostatnich tygodniach przed śmiercią na jego stole walały się niezakrecone tuby farb, zaschnięte pędzle, a obok, na sztalugach, stał niedokończony obraz kwiatów.

Wystawa zorganizowana z inicjatywy Muzeum Okręgowego zgromadziła, mimo fatalnej pogody, liczne grono znajomych, bo wszyscy jeszcze raz zapragnęli spotkać się z człowiekiem, którego się pamięta.

Jan Sznajder

## Trudna misja w człowieku, czyli fenomen serca...

Ma swoją historię wpisaną w obieg krwi. Nie zna odpoczynku całe miesiące i lata. Godzi się na wszystko, aby wypełnić swoją misję w człowieku. Nie pisze skarg i petycji, nie obraża się o byle co. Po prostu pracuje.

Nasze serce... Niczym czuły sejsmograf reaguje natychmiast na wznosy i upadki. Raz jest uwięzionym w klatce ptakiem, to znów motylem nad łąką. Bywa klute bolesnymi wspomnieniami, osaczone przez lęk, ubierane w miłość. Porzucone, pełne nadziei, rozdarte, niespokojne, ufne. Niezwykły mechanizm, który mieści się w dłoni. Jego zatrzymanie oznacza kres ziemskiego życia. Ot, jakby zdmuchnięcie świecy...

Serce nie tylko ciężko pracuje przepompowując setki tysięcy litrów krwi, ale musi jeszcze umieścić w sobie całą gamę uczuć, przeskoczyć emocje. Bywa, że rozszalały ból niczym trąba powietrzna unosi je w swych szponach. Albo nienawidź uderza w nie niczym spienione fale oceanu o skałę. Nasze serce jest ową skałą w przenośni i dosłownie, bo gdyby było inaczej, na dłuższą metę nie wytrzymałoby tej niszczącej siły. Zapominamy o nim, nie dajemy oddechu. Dla świętego spokoju posyłamy mu czasem kolorowe pastylki lub ziołowe nalewki. Jakoś nie przychodzi nam do głowy, żeby traktować je „po ludzku” – ochra-

niać łagodnością, pomagać nieść tę Odpowiedzialność Za Życie.

Co człowiek współczesny ma do powiedzenia swojemu zmęczonemu sercu? Żeby siedziało cicho? Żeby nie zaskakiwało w trakcie ważnego spotkania i nie budziło w środku nocy? Wyobraźmy sobie fabrykę, która z nikim nie współpracuje, nie zawiera żadnych umów i nie dba o ciekawe kontrakty. Wkrótce stanie się mało atrakcyjna, osamotniona i czeka ją żaloszny koniec. Taką małą fabryką jest serce. Pragnie naszej współpracy, odpowiednich surowców, dobrej atmosfery i jeszcze lepszego planowania. A jak jest naprawdę? No cóż... W codziennej gonitwie, w natłoku

informacji, totalnie zmęczeni, wciąż odkładamy na później rozmowę z sercem. A ono bije... Cierpliwe, wierne życiu. Istniało wcześniej niż stres, dlatego ciągle jeszcze ma nad nim przewagę.

Co się stało z człowiekiem XXI wieku? Wplątany w układy scalone, fale radiowe, mikroprocesory, otoczony maszynami, oszołomiony wrzaskiem decybeli, oślepiiony reklamami, zafascynowany przyciskaniem różnych guzików, wpatrzony w świetlaną przyszłość – co naprawdę widzi? Już dawno oddał pocziwą Matkę Naturę do domu starców, aby nie marudziła i nie przeszkadzała w śmiałych projektach. Świat odczu-

wa przecież techniczny zawrót głowy! A serce wciąż pracuje... bez wytchnienia, bez urlopu. Jest zbyt małe, aby przysłonić dumę *homo sapiens*, lecz wystarczająco duże, aby przypomnieć historię całej ludzkości. „Powiedzieć coś od serca”, „dać dar serca”, „okazać komuś serce”, „być wielkiego serca” – to potoczne zwroty, które, gdy im się przyjrzeć, zawierają ogromny ładunek emocjonalny. Ludzkie serce... Mieszka w nim miłość. Tam są odpowiedzi na najtrudniejsze pytania.

Danuta Olczak



## Spacer ulicą Kolską



Okres między Świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem był dla mojego wnuka okazją do radosnych przeżyć. Uczestniczył w miłych spotkaniach rodzinnych, otrzymał od św. Mikołaja sporo prezentów, chodził na basen, natomiast w wolnych chwilach czytał z zainteresowaniem „Eragona”.

Radość i wzruszenie towarzyszyły mi każdego dnia, ale kończący się rok 2006 zmusił do refleksji nad zbyt szybko upływającym czasem.

Wojtuś doskonale czuje się w Koninie, lubi spacerować po Starówce, a przy okazji naciąga mnie na wspomnienia. Widząc mój nieco nostalgiczny nastrój, zaproponował kolejny spacer, tym razem ul. Kolską. Słyszał kiedyś od swojej mamy, że chodziła do szkoły znajdującej się przy tej ulicy. Tu również uczył się jego wujek i pracowała przez rok babcia.

Spacer rozpoczęliśmy od Ronda św. Ducha znajdującego się obok Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Bez emocji minęliśmy zakład „Polmos”, ale na małą chwilę wstąpiliśmy do Szkoły Podstawowej nr 1,

której patronuje Zofia Urbanowska. Szkoła podobała się wnukowi. Nieco dalej wskazałam mu budynki Zespołu Szkół Technicznych i Hutniczych. Dawniej mieścił się tu Szpital św. Ducha, później Gimnazjum Żeńskie im. Królowej Jadwigi, a na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku ulokowano Sąd Grodzki. Również po wojnie przez wiele lat w tych budynkach się Sąd Grodzki, później Powiatowy. Wiadomości te zdobyliśmy, czytając książkę „Spacerkiem po Koninie” p. Piotra Rybczyńskiego.

Nie mogłam odmówić sobie przyjemności pokazania wnukowi domu, w którym mieszkała moja koleżanka Krystia Wolbach. Znana piekarnia Wolbach pod numerem 11 ma wielopokoleniowe tradycje rodzinne w tym zawodzie i do dziś przygotowuje dla mieszkańców smaczne, pachnące pieczywo.

Niedaleko mieszkała p. Wanda Popieliska, która przez szereg lat pracowała w administracji państwowej. Nie umiałam jednak odszukać jej domu.

Musieliśmy również odwiedzić właścicieli Zakładu Kowalskiego, który znajduje się pod numerem 14. Prowadzony jest od wielu pokoleń

przez rodzinę Wieczorkiewiczów. Firma znana jest z solidnych, a czasem nawet misternych wyrobów kowalskich. Pan Leszek Wieczorkiewicz wybrał się z nami na dalszy spacer, by pokazać inne ciekawe miejsca.

W nieistniejącym już dziś domu pod nr. 24 znajdował się kiedyś Zakład Krawiecki p. Michalskiego. Prawie na końcu ulicy w wysokiej kamienicy z numerem 35 mieszkał Bolesław Białkowski – wieloletni Kierownik Szkoły Podstawowej nr 1, w której zaczynałam pracę w zawodzie nauczycielskim ponad 40 lat temu.

Niestety, czas szybko płynie. Wydaje się, że tak niedawno przyprowadziłam za rączkę córkę do klasy I (miała wówczas 6 lat). Dziś spaceruję z jej trzynastoletnim synem, zamięczającym mnie pytaniami dotyczącymi dość odległych czasów.

Wojtuś miał ochotę kolejny raz odwiedzić cmentarz. Bardzo podoba mu się wspinanie na wzgórze kryjące tyle wspomnień, ale ja stanowczo zaprotestowałam, ponieważ bolały mnie nogi. Obiecałam, że jeszcze kiedyś wybierzemy się na spacer ulicą Kolską. Może uda mi się „odgrzebać” z kiepskiej już pamięci jakiegoś interesującego faktu.

## A ja lubię Konin...



Pisanie anonimów jest stare jak świat, a w obecnym czasie miejscem chętnie wykorzystywanym na tego rodzaju „twórczość”

jest Internet. Nazywa się to komentarze. Szkoda czasu na czytanie, ale ze zwykłej ciekawości, weszłam na strony internetowe dotyczące miasta. Siedzi taki osobnik schowany w sieci i wypisuje. Wszystko jest beznadziejnie: ludzie dookoła i nie daj Boże, jak odniosą sukces, miasto małe, nudne... itp., itd. Pewnie w ten sposób wielu odreagowuje swoje frustracje i porażki.

Po studiach, nie tyle „za chlebem”, ile przede wszystkim z powodu mieszkania wyjechaliśmy z mężem na tzw. ziemię zachodnie. Żagań, miasto piękne z powodu ilości zabytków i zaniedbane, odizolowane z powodu stacjonujących tam swego czasu wojsk radzieckich. Dojazd albo okrężną drogą autobusem, albo z wieloma przesiadkami pociągami.

Na tyłach miejscowego kina mieliśmy pracownię. Wychodząc kiedyś późnym popołudniem przeżyliśmy bardzo miłe spotkanie. Ze stojącego tam autobusu wysiadł przystojny, elegancki mężczyzna. Piękne garnitury można było oglądać w zachodnich filmach, to też postać była niezwykła. Tym mężczyzną był Mieczysław Fogg, legendarny polski artysta minionego wieku, rekordzi-

sta, jeśli chodzi o liczbę koncertów i nagrań. Zatrzymał się, przywitał z nami, porozmawiał. Czy uczyniłby to dzisiejszy sławny artysta, nie wiem, ale pewnie nie przydarzyłoby się nam to w większym mieście. Wiwat małe miasto!

To zdarzenie, a raczej epizod przywołała z mojej pamięci audycja radiowa. Młodzi muzycy odkrywają na nowo sentymentalne piosenki Mieczysława Fogg, wykonując je w interesujących aranżacjach.

W Koninie mieszkam przez większą część swojego życia. Mam tutaj swoje ulubione miejsca, wielu znajomych i przyjaciół. Realizować marzenia można wszędzie, tylko trzeba chcieć i nawet, jeżeli nie wszystko układa się po mojej myśli, to w większym mieście byłoby tak samo. Ucząc się, pracując, poruszamy się w kręgu tych samych ulic i twarzy. W moim rodzinnym Poznaniu zapewne są większe możliwości, chociażby związane z kulturą, ale ile osób z nich korzysta? Czyż podobnie nie jest w Koninie? Lubię Konin. Mnie się tutaj podoba.

W początkowym okresie, kiedy zamieszkałam w Koninie, wśród moich znajomych przeważali tzw. „przybysze”. Koninian postrzegałam, jako zamkniętą, niedostępną grupę. Dziś mam także wśród nich przyjaciół. Odkrywają przede mną nie tylko na łamach „Koninianów” historię i urodę miasta, a także, „na żywo” wiele ciekawych miejsc. Mam też swoje prywatne „odkrycia”, ale o tym przy innej okazji.

Mirosława Dimitrow z Konina

**Muzeum Okręgowe w Koninie** Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” w Koninie Stowarzyszenie Internowanych, Więzionych i Represjonowanych w Stanie Wojennym (w organizacji) – zwracają się do wszystkich posiadających dokumenty i pamiątki z lat 1980-1990 związane z jawną i podziemną działalnością Związku i innych organizacji niepodległościowych z prośbą o przekazywanie ich do Muzeum Okręgowego, Konin-Gosławice, ulica Muzealna 6, 62-505 Konin.

Inicjatywa ma zabezpieczyć historyczną spuściznę przed dalszym rozproszeniem i zniszczeniem, umożliwić naukowe opracowanie, pielęgnowanie i krzewienie wiedzy o dokonaniach i działalności NSZZ „Solidarność” i innych organizacji niepodległościowych Regionu Konińskiego, ułatwić okolicznościowe wystawy i prezentacje. Pamiątki i dokumenty szczególnie cenne ze względów osobistych mogą być, po zewidencjonowaniu, zwracane właścicielom. Powyższe przedsięwzięcie nie dotyczy materiałów na mocy Ustawy wchodzących w skład Państwowego Zasobu Archiwalnego.

# Jarosław Lubiowski – wnuk Króla Kurkowego

Rzecz dzieła się w Jarocinie, mieście rodzinnym doktora Jarosława Lubiowskiego. Co prawda upłynęło od tamtego zdarzenia nieco wody, ale podobno opowieści o tym – w końcu niecodziennym przecież – incydencie, wspomina się do dzisiaj w kołach zbliżonych do rodu Lubiowskich. Doktor był rozbawiony opowiadając o swoich korzeniach, ale kropla tej krwi „królewskiej” trochę go wzruszyła. Gdy jednak zaczęliśmy już na serio rozmawiać o drodze do medycyny – doktor zaskoczył mnie jeszcze bardziej. Okazało się, że to, co jednych może zrazić, dla innych bywa bodźcem pozytywnym. Szczególnie, że p. Jarosław był wtedy małym Jarkiem i niestety pacjentem szpitala cierpiącym na zapalenie stawów. I wtedy właśnie postanowił, że zostanie lekarzem i będzie niósł ulgę cierpiącym ludziom. Słowa dotrzymał. Ukończył medycynę w Poznaniu i pewnie by tam został, zwłaszcza, że zainteresował się nim sam słynny profesor Dega. Niestety, dla Poznania – studiowała tam pewna śliczna koninianka i nasze miasto, dzięki właśnie pani Mirosławie, zyskało doskonałego ortopedę i chirurga urazowego narządów ruchu. Jest również niestrudzonego działaczem Towarzystwa Lekarskiego. Jak

sam mówi, bakcyłem społecznikiem zaraził się jeszcze na studiach, gdy był szefem studenckiego klubu „Aspirynka”. To były piękne i ciekawe czasy, ale nadające się już, niestety, na inną opowieść. Dla ciekawości, Konin w tym czasie kojarzył mu się z meczami piłki nożnej, z którego do Jarocina przyjeżdżali nasi sportowcy, nota bene autobusami bardzo charakterystycznymi dla owych czasów. No cóż, *signum temporis* tych siermiężnych lat. W każdym bądź razie, miał prawo młody lekarz nieco obawiać się wizerunku niegdysiejszego Konina. Po przyjeździe i obejrzeniu „starego” szpitala, pewno by się rakiem wycofał – na szczęście serce nie służy (i wcale nie chodzi o aspekt medyczny).

Dużą rolę odegrał również nieodżałowanej pamięci doktor Pałys, wprowadzając młodego medyka w środowisko lekarskie. Na szczęście na horyzoncie rysowały się już mury nowego szpitala w Koninie prawobrzeżnym. Pomyślnie przebiega specjalizacja u doktora Jana Bąkowskiego, powiększa się rodzina (dzisiaj synowie są już lekarzami, *tempus fugit!*). Doktor Jarosław Lubiowski powoli, ale dokładnie zaczyna wstawać w naszą nadwarciańską ziemię. Dzisiaj jest już ordynatorem oddziału ortopedii

oraz przewodniczącym Towarzystwa Lekarskiego w Koninie.

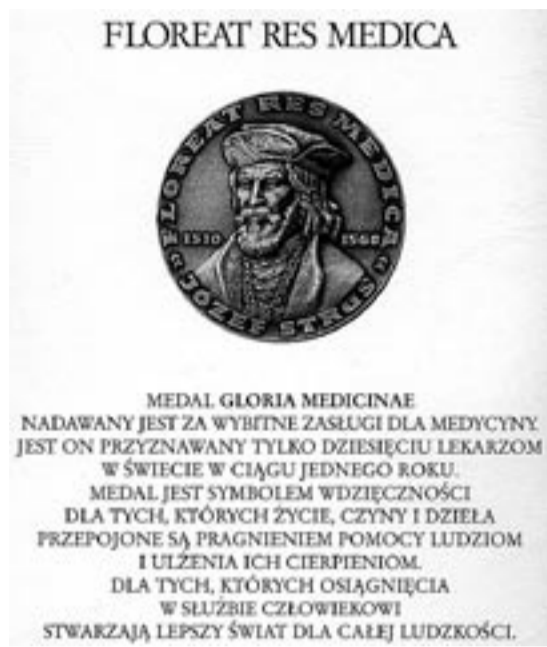
nieje się również zabiegu termoablacji – jest to niszczenie komórek raka-

nych jakby przy pomocy „mikro-fali”. Niech darują mi fachowcy to niezbyt precyzyjne tłumaczenie, ale proces jest nazbyt skomplikowany na opis w zwykłym wywiadzie. Operacje te przeprowadza zespół doskonałych fachowców, są to oprócz naszego bohatera, lekarze: Arkadiusz Kubacki oraz z Poznania Jerzy Nazar.

Doktor Jarosław Lubiowski jest również prezesem Konińskiej Fundacji Ochrony

Zdrowia „Sanus”. Z jego inicjatywy zakupiono pierwszy w mieście tomograf oraz aparat do ablacji. Aby nie pominąć istotniejszych poczynań doktora Lubiowskiego należy dodać, że był również inicjatorem powołania opieki paliatywnej.

Z opinii zawodowej: „...dba o nieustające dokształcanie kadry lekarskiej... organizuje wiele ogólnopolskich konferencji naukowych... gościł wykładów z Oksfordu... pozyskał wiele nowoczesnego sprzętu medycznego... wyszkolił młodą kadre specjalistów ortopedów... stały biegły sądowy... ekspert Wielkopolskiej Izby Lekarskiej... członek Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego.”



Do najważniejszych dokonań zawodowych doktora należy założenie w Koninie ośrodka, w którym dokonuje się zabiegów usuwania nowotworów kości oraz wszczepiania w to miejsce specjalnej endoprotezy rekonstruktywnej. Równoległe doko-

nieje się również zabiegu termoablacji – jest to niszczenie komórek raka-



## Pachnące ulice

Nie ma chyba na świecie nielubiących kwiatów. Nie tych, co się je z apetytem zjada, na przykład kalafiora, lecz tych, co cieszą oczy barwą i kształtem, a przy tym jeszcze pachną. Chociaż ludzki nos nie bardzo potrafi poznać woń astra, sasanki, kaczęca czy tulipana. Próbować jednak warto.

W Koninie można zamieszkać, względnie tylko pospacerować, takimi ulicami kwiatów, jak:

Aster. Jednoroczna lub wieloletnia roślina ogrodowa z rodziny złożonych, o dużych kwiatach bez zapachu.

Bławatek – chaber (*Centraurea*). Roślina polna lub łąkowa chwast, polny o niebieskich płatkach – modrak.

Bratek (*Viola tricolor*). Roślina z rodziny fiołkowatych; gatunki wielkokwiatowe.

Dalia (*Dahlia*) – georginia. Roślina kłączowa, wieloletnia, o różnobar-

wnych kwiatach, hodowana w przydomowych ogródkach i parkach.

Fiołek (*Viola*). Niska roślina wieloletnia lub roczna o okrągłych listkach i drobnych kwiatach, najczęściej koloru fioletowego.

Gładiol (*Gladiolus*), miecznik. Rabatowy kwiat ozdobny o wydłużonej łodydze i długich, ostro zakończonych liściach. Kwiaty w kształcie nieregularnych rozwiniętych kielichów o różnych barwach.

Hiacynt (*Hyacinthus*). Roślina cebulkowa z rodziny liliowatych, hodowana dla pięknych, pachnących kwiatach.

Irys (*Iris*) – kosaciec. Z rodziny kosaćcowatych o liściach szablastych i pięknych kwiatach zwykle żółtych lub fioletowych.

Jaśmin (*Philadelphus*). Roślina z rodziny skalnicowatych. krzew o wonnych białych kwiatach zebranych w wiechy.

Kaczeniec (*Caltha*). Z rodziny jaskrowatych o żółtych kwiatach i nerkowatych liściach.

Kąkol (*Agrostemma githago*). Roślina z rodziny goździkowatych o purpurowych kwiatach i trujących nasionach; pospolity chwast zbożowy.

Konwalia (*Convallaria majalis*). Z rodziny liliowatych, o dużych liściach i białych wonnych kwiatach kształtu dzwoneczków.

Krokus (*Crocus*). Szafran. Roślina cebulkowa z rodziny kosaćcowatych, o kielichowatych kwiatach i lancetowatych liściach.

Lewkonia (*Mathiola*). Roślina z rodziny krzyżowych, o różnych barwnych, pachnących kwiatach zebranych w grona.

Lilia (*Lilium*). Roślina cebulkowa z rodziny liliowatych, o dużych białych albo pomarańczowych kwiatach.

Mak (*Papaver*). Roślina z rodziny makowatych o dużych kwiatach osadzonych na dużych kosmatych łodygach.

Malwa, śláz. Z rodziny ślázowatych o barwnych kwiatach umiesz-

czonych wzdłuż łodygi w kątach liści; występuje w wielu odmianach w formie dzikiej i w ogrodach, zwłaszcza przed domami.

Margaretka, margarytka. Roślina z rodziny złożonych, złocień właściwy.

Narcyz (*Narcissus*). Roślina cebulkowa wiosenna z rodziny amarylkowatych, o kwiatach wonnych przeważnie białych lub żółtych.

Nasturcja (*Tropaeolum*). Roślina zielona z rodziny nasturcjowatych; ozdobna o kwiatach żółtych, pomarańczowych lub purpurowych.

Pelargonium (*Pelargonium*). Roślina z rodziny bodziszkowatych, o liściach silnie pachnących, kwiatach barwnych zebranych w baldachy; hodowana jako roślina ozdobna.

Piwonia (*Peonia*). Bylina, roślina ozdobna z rodziny jaskrowatych, o dużych, efektownych kwiatach.

Róża (*Rosa*). Rodzina z rodziny różowatych, krzew o barwnych pachnących kwiatach, obejmuje około 100 gatunków, hodowana jako roślina ozdobna.

Rumianek (*Matricaria*). Roślina z rodziny złożonych, o liściach pierzastodzielnych, kwiatach jęczyc-

kowatych białych lub rurkowatych żółtych.

Sasanka (*Pulsatilla*). Roślina wiosenna z rodziny jaskrowatych, o kwiatach fioletowych, białych lub żółtych.

Stokrotka (*Bellis*). Roślina z rodziny złożonych, o liściach zebranych w przyziemne różyczki i łodydze z jednym koszyczkiem kwiatowym; rośnie dziko, również hodowana jako roślina ozdobna.

Szafirek. Roślina cebulkowa z rodziny cebulkowatych.

Szarotka (*Leontopodium*). Roślina z rodziny złożonych, pokryta jak gdyby białym filcem, o koszyczkach kwiatów zebranych w szczytowej główkę, otoczonej gwiazdką liści.

Tulipan (*Tulipa*). Roślina z rodziny liliowatych, o kwiatach dużych, barwnych, liściach lancetowatych.

Tak to jest u nas w Koninie. Aha! Jest jeszcze ulica Kwiatowa, a kwiat to roślina ozdobna, czasami doniczkowa. To też barwny, najczęściej wonny pęd przekształcony w organ rozmnażania nasiennego u roślin.

Zygmunt Kowalczykiewicz Starszy

## List otwarty

### Do inż. Stanisława Pijanowskiego, kustosa Muzeum w Głuchej Puszczy

Drogi Stanisławie, przyjaciele Twoi oraz Głuchej Puszczy, orientują się z jakim trudem, poświęceniem i samozaparciem przez całe pracowite życie gromadziłeś swoje

unikatowe zbiory. Ile kosztowało Cię poświęcenia, aby je chronić. Jaka w tym ogromna zasługa wiernych pieśków, które pomagały strzec Ci owe bezcenne dzieła przed złymi ludźmi.

Otóż my, którzy to wiemy, chcemy wyrazić swoje głębokie oburzenie i dezaprobatę wobec dziennikarzy polujących na tanią sensację, traktujących swoją „misję” w kategoriach

– im zjadliwiej napiszemy, tym więcej zawistników to przeczyta. Tyle mądrych i prawdziwych ocen zostało już na temat Twojego Muzeum powiedziane i napisane. Tyle otrzymałeś podziękowań oraz nagród, tyle wspaniałych wpisów do wielu tomów kronik, że kąśliwy artykuł w tegorocznej „GW” niczego nie jest w stanie zmienić w opinii ludzi, którzy dobrze Cię znają i cenią. Tak wielu było zasłuchanych ludzi w Twoje ciekawe i mądre opowieści – opowieści prawdziwego Filozofa z Głuchej Puszczy,

że bądź wspaniałomyślny i zapomnij o tych nielicznych, bezwzględnych, goniących za sensacją „pismakach”, a szkoda, bo rzecz godna jest zupełnie innej oceny. Pamiętaj, „psy szczekają, karawana idzie dalej”. Po prostu rób swoje, tak jak robiłeś to do tej pory. Ciebie oceni historia i pamięć wrażliwych ludzi.

Przyjmij serdeczne i szczere wyrazy solidarności.

W imieniu licznej grupy Twoich przyjaciół

Stanisław Sroczyński



# O welocypedach i drewnianym „samochodzie”

W ubiegłym roku na łamach „Koninianów” pisałem o niedogodnościach i urokach podróżowania naszych protoplastów przed stu i więcej laty. Temat spotkał się z żywym zainteresowaniem, a ja sam zdałem sobie sprawę, że pisząc o niegdyśjszych kurierkach, karetach pocztowych i pierwszych autobusach byłbym zapominał o jeszcze jednym XIX-wiecznym wynalazku w tej dziedzinie. Może zresztą dlatego, że współcześnie postrzegamy ten środek lokomocji bardziej jako przedmiot rekreacji i sportu, aniżeli rodzaj komunikacji. Z rozrywką kojarzony był co prawda od początku swoich narodzin, ale przez dziesięciolecia spełniał ważną funkcję użytkową i dzisiaj niewątpliwie przeżywa swój renesans. Mowa o poczciwym rowerze, który zresztą na początku pod tą nazwą nie występował, a jego nazwa ewoluowała, podobnie jak sam przedmiot, który określała.

Nie wdając się w hipotetyczne dzieje narodzin samego pomysłu i pierwszych konstrukcji kołowego pojazdu poruszanego siłą ludzkich mięśni, trzeba stwierdzić, że bardziej realne kształty przybrał dopiero na początku drugiej połowy XIX w. Jakkolwiek mieszkańcy Warszawy pierwszy pojazd tego typu mieli zobaczyć na ulicy już w 1866 r., to dopiero wystawa powszechna w Paryżu w 1869 r. przyciągnęła się do szerszego zainteresowania nowym wynalazkiem. Początkowo zresztą postrzegano go w kategorii sprzętu cyrkowego i tam najchętniej oglądanego w użyciu. Kiedy zatem w tym samym roku pewien właściciel fabryki ekwipaży w Warszawie sprowadził kilka pojazdów i zorganizował pierwszy wyścig *bystrochodów*, doznał po trosze nieprzyjemnego zawodu. Co prawda sensacja była spora i ciekawskich nie brakowało, ale komentarze tłumu były wręcz szydercze. Wykonane z drewna i okute żelaznymi obręczami wehikuły jakoś dechu w piersiach nie zapierały, chociaż zafascynowana nowinkami technicznymi ówczesna prasa przyjęła je wielce życzliwie. Zresztą owe pojazdy więcej miały wspólnego z profesjami związanymi z obróbką drewna, aniżeli z mechaniką. Wspomniany już warszawski drewniany trycykl (czyli trójkołowiec) z 1866 r. zbudował stolarz.

Miał również Konin swojego genialnego, acz wielce nieszczęśliwego wynalazcę, który zresztą od razu postanowił zbudować coś na kształt samochodu poruszanego siłą ludzkich mięśni. Jeżeli wierzyć doniesieniom prasowym z 1883 r. kilka lat wcześniej koniński stelmach o nazwisku Zalewski miał zbudować własnego pomysłu drewniany *wóz-samochód*. Wehikuł ten przypominał wyglądem zwykły powóz, jednak poruszany był przez

dwóch ludzi, którzy tak jak w pompie ulicznej naciskali rodzaj dźwigni, czyli *draga*, co zapewniało ruch „samochodu”. Sądząc z dość enigmatycznego opisu byłby to zatem pojazd w rodzaju ręcznej drezyny kolejowej, tyle tylko, że poruszający się po drodze. Los wynalazcy okazał się jednak smutny, gdyż *ubogi stelmach stracił cały majątek na budowę samochodu, którym nikt się nie zainteresował*.

Z czasem jednak pionierom nowych sposobów podróżowania przyszedł w sukurs rozwój techniki i technologii. Tym sposobem welocypedy, jak je zaczęto nazywać, powoli wzięły rozbrat z drewnem i przestały przypominać dziwny rodzaj, czy też raczej fragment, powozu. Dzięki temu stały się lżejsze, a obok trycykli coraz większą popularność zaczęły zdobywać bicykle, czyli pojazdy dwukołowe, zbliżone już rozmiarami i ogólnym kształtem do znanych nam rowerów. Trzeba tutaj zresztą sprostować pewien stereotyp. Otóż najstarsze welocypedy bywają najczęściej kojarzone z konstrukcją posiadającą jedno olbrzymie koło, czyli z tzw. monocyklem, co najwyżej wspartym drugim małym kołem z tyłu. Takie modele istniały, ale bynajmniej nie cieszyły się większą popularnością. To zrozumiałe, bowiem korzystanie z nich wymagało sporej sprawności fizycznej i było cokolwiek niebezpieczne. Natomiast z racji swojej ekstrawagancji chętnie były przedstawiane na licznych rycinach i fotografiach. Podobnie jak dosiadający ich cykliści, imponujący otoczeniu fantazją i odwagą. Przy monocyklach „normalne” trycykle i bicykle wyglądały dużo skromniej, za to stawały się coraz bardziej praktyczne. Na początku lat osiemdziesiątych XIX w. nowy pojazd był ciągle nowością, ale dzięki udoskonaleniom nabrał bardziej użytecznego znaczenia. Powoli zdano sobie sprawę, że niekoniecznie trzeba cyrkowych umiejętności, żeby jeździć na welocypedzie, a on sam może służyć nie tylko do imponowania damom na modnych bulwarach i parkowych alejach. Dzięki praktycznemu aspektowi jazdy wielocypedem początkowy krytycyzm i lekceważenie ustąpiły miejsca poważniejszemu zainteresowaniu, a nawet swoistej fascynacji.

Sprzyjały temu wyczyny pionierów ówczesnego sportu *kołowego*, których osiągnięcia wzbudzały powszechny podziw i skutecznie propagowały modę na welocypedy. Miał w tym swój udział również pewien tajemniczy mieszkaniec Konina, a zarazem jeden z prekursorów kolarstwa i to nie tylko w skali miasta, ale co najmniej guberni kaliskiej. Tajemniczy, gdyż na łamach prasy występował skromnie

jako *Pan Pr. z Konina* i jak dotychczas nic bliżej o nim nie wiadomo. Tenże jegomość pewnego lipcowego dnia 1884 r. wsiadł na trójkołowy welocyped i z przymocowanym do niego, *thumoczkim o wadze kilkudziesięciu funtów* (1 funt = ok. 0,4 kg), udał się w podróż do Kalisza. Trasa wiodła przez Kościelec i Turek, co może się obecnie wydać nieco dziwne, ale wówczas było w pełni racjonalne. W ten sposób jechał bowiem cały czas tzw. traktami państwowymi, które były naówczas najważniejszymi drogami bitymi, a tym samym o najlepszym stanie technicznym. W przeciwieństwie do tzw. drogi gubernialnej z Konina do Kalisza przez Rychwał, której stan na odcinku do Rychwał był wprost katastrofalny. Droga ta miała opinię najgorszej w całej guberni i kto tylko mógł omijał ją z daleka.

Jednakże w tej sytuacji dzielny cyklista musiał przebyć 80 wiorst (czyli ponad osiemdziesiąt kilometrów), co zajęło mu 5 godzin, gdyż z Konina wyjechał o czwartej rano, a w Kaliszu stanął o godz. 9. Pokonanie takiej odległości na welocypedzie w przeciągu 5 godzin stało się w Kaliszu sensacją. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro ówczesna poczta oferowała najszybszą podróż, czyli tzw. *jazdę kurierską*, z przepisową prędkością 15 wiorst na godzinę, co było zresztą w praktyce – jak to z publiczną komunikacją bywało i bywa – wartością teoretyczną. Zdziwienie korespondenta relacjonującego to wydarzenie budziła jeszcze jedna okoliczność, gdyż jego zdaniem welocypedysta dotarł do Kalisza, *nie czując przytem najmniejszego zmęczenia, pomimo że droga prawie cała, którą przebywał jest górzystą...*

Podróże do Kalisza i z powrotem nie były bynajmniej ostatnim osiągnięciem konińskiego cyklisty. Jeszcze tego samego roku odbył znacznie dalszą ekskursję i to naówczas zagraniczną. Udał się bowiem – tym razem prawdopodobnie na dwukołowym bicyklu – aż do Wrocławia. Po pobycie w tym mieście również podróż powrotną do Konina odbył na wspomnianym bicyklu, co zajęło mu prawie dwa dni. Wiadomo bowiem, że z Wrocławia wyjechał o godzinie drugiej po południu, a o godzinie 6 wieczorem dotarł do Ostrowa, ostatniego miasta po pruskiej stronie granicy. Tutaj przenocował i następnego ranka dojechał do nieodległego już Kalisza, a stąd udał się w ten sam sposób do Konina.

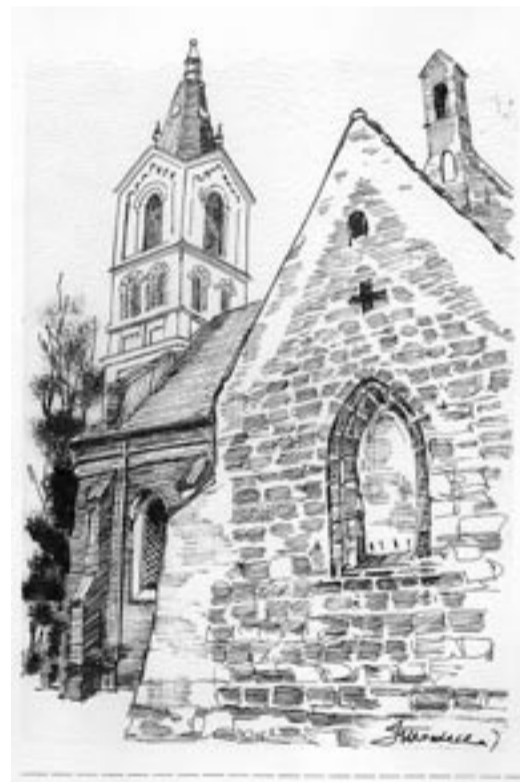
Tego rodzaju wyczyny mogą u dzisiejszych rowerowych pasjonatów budzić uśmiech politowania, ale wyobraźmy sobie drogi pokryte kamiennym tłuczniem oraz proste, bez przerutek, amortyzatorów i tych różnych innych współczesnych udogodnień. Z tej perspektywy osiągnięcie Pana Pr. z Konina nabierze całkiem innego wymiaru.

Piotr Rybczyński

# Kościółek w Starym Mieście

Bystre oczy naszych XII – wiecznych przodków dostrzegły urodę i dogodne położenie tej przestrzeni  
roztropne głowy zdecydowały o zaistnieniu w tym miejscu osady a potem ...  
szata chrzcielna nasunęła myśl a wola Piotra Dunina ją zrealizowała i powstała  
pierwsza w tej okolicy okazała, na owe XII- wieczne czasy stylowa świątynia matka innych świątyń do dziś  
cieszy serce i wzrok stary kamienny kościółek ciosanymi ścianami z rodzimego piaskowca łagodnymi romańskimi łukami drzwi i okien a jednym strzelistym – dotkniętym przebudową gotycką ścianami podpartymi potężnymi skarpami ozdobnym portalem z rzeźbą nad wejściem... ślady ostrzenia mieczy rycerskich na ościeżach i wydeptany próg świadczą o dobrze spełnionym posłannictwie tego dzieła.

Jadwiga Naskręcka



Dziś ten kościół jest boczną kaplicą nowego neogotyckiego kościoła powstałego w 1907 r.

## Listy do i od redakcji.

Do internetowej poczty dołączył e-mail ze słonecznej Kalifornii. Respondent przesyła pozdrowienia wraz z zapewnieniem, że dzięki pozyskanemu adresowi będzie teraz częstym gościem „Koninianów”. Ponieważ imię i nazwisko autora listu brzmiało identycznie, jak znajomego z czasów mojej pracy w kopalni do podziękowań dołączyłem osobiste pytanie: Czy jest Pan...? Odpowiedź potwierdziła, że: Koninianie mieszkają wszędzie i wystarczy tak niewiele... – zresztą przeczytajmy: „...Tak, to ja jestem ten od: *Glomby i pozostałych. Podobnie jak jestem (byłem) chłopakiem z „grobli”, Słupeckiego Przedmieścia, czy jak kto woli ulicy Wojska Polskiego. Według mojej pamięci po wojnie ulica kilka razy zmieniała nazwę. Przypomniałem sobie epizod z lat 50., wówczas wymieniono tablice i od tej pory na krótko ulica nazywała się Bohaterów Stalingradu. W szkole poskarżyliśmy się wychowawczyni, że popelniono błąd, bowiem na tabliczkach (drewnianych) napisano bohaterów przez „ch”. Na szczęście nie musieliśmy długo protestować – po jakimś czasie tablice zostały wymienione (to jako ciekawostka)...*” W innym fragmencie listu autor zastanawia się „...Może warto na łamach miesięcznika zapytać mieszkańców: *Kto pamięta, gdzie znajdował się w powojennym Koninie pierwszy dworzec autobusowy PKS? Myślę, że Twój starszy brat, a mój kolega Zygmunt wie o tym doskonale... Przesyłam pozdrowienia dla całej redakcji Henryk Budner, California...*” Przychodząca korespondencja napawa nas dumą, że zarówno: Nasi w Californii, swojacy z Australii, o tych z krajów Unii Europejskiej nie wspomnę – Konin noszą głęboko w sercu.

WK